

Roman Trojanowicz

Towarzysze na Targach

Śledząc trwającą nieprzerwanie od pięćdziesięciu lat dyskusję nad Czerwcem '56 w Poznaniu, niepodobna nie zauważyć, jak trudną jest rzeczą ustalenie prawdziwego przebiegu zdarzenia, nawet tego, które toczyło się na oczach wielkiej liczby świadków. Można to wytłumaczyć zawodnością pamięci i faktem, że minęło już przecież wiele lat. Wiadomo jednak, że wielu świadków opisało wydarzenia w krótkim czasie po ich zaistnieniu, a ich relacje mimo to w wielu szczegółach, ważnych nawet, w istotny sposób się różnią. Pomagają nam wtedy w dojściu do prawdy dokumenty, zdjęcia czy inne materialne ślady wydarzeń. Trudniejsze jednak lub prawie niemożliwe jest opisanie panującej atmosfery w niezbyt nawet odległych czasach i miejscach.

Moje przeżycia z czwartku nazwanego później „czarnym” w pewnym stopniu aurę owych czasów mogą ilustrować. Dzień 28 czerwca 1956 r. był dla mnie wyjątkowy, choć wypadki, których byłem wówczas świadkiem, toczyły się raczej na obrzeżu niż w centrum tego, o czym się najczęściej mówiło i pisało, i nadal pisze i mówi.

Byłem wtedy studentem, który po szczęśliwie zakończonej sesji egzaminacyjnej zaliczył trzeci rok medycyny, nieco skrócony,

bo miejsca w domach akademickich musiały być zwolnione dla uczestników wycieczek na Międzynarodowe Targi Poznańskie, które reaktywowane w poprzednim roku po pięcioletniej przerwie zaczęły odgrywać rolę szczególną.

W 1955 r. liczba zwiedzających Targi osiągnęła niepokonany podobno po dziś dzień rekord, przekroczywszy milion dwieście tysięcy osób. Przybywający z całej Polski przeważnie w zorganizowanych wycieczkach ludzie spragnieni byli ujrzeć czegoś, co już w nazwie było międzynarodowe, a nie ludowe czy socjalistyczne. Mieszkańcy miast i miasteczek dowiadawali się od znajomych, którzy już na Targach byli, że nawet na ulicach Poznania oglądać można wspaniałe samochody z zagranicznymi tablicami, które przy garbatych warszawach i ciężkich wołgach wyglądały jak z innego świata. Gromadziły się przy nich tłumy ciekawych, co wprowadzało władze w widoczne rozdrażnienie.

Targi miały odgrywać w planach władzy rolę wychowawczą, pokazywać osiągnięcia naszego polskiego a zarazem socjalistycznego przemysłu i rolnictwa.

Przybywały więc do Poznania wycieczki z całej Polski, by zobaczyć międzynarodowe Targi. Przywożono górników, nieraz specjalnymi pociągami. Samopomoc Chłopska, organizacja zrzeszająca rolników, organizowała wycieczki autokarowe z najdalszych zakątków kraju. Odwiedzały Targi członkinie Ligi Kobiet i Stowarzyszenia Gospodyń Wiejskich i członkowie Spółdzielni Pracy Fryzjerów i Perukarzy z Suwałk lub Rzeszowa. Przyjeżdżali również członkowie Zrzeszenia Architektów i Stowarzyszenia Artystów Plastyków z Warszawy czy Krakowa. Na nich wszystkich oczekiwali członkowie Koła Przewodników Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego.

Wycieczki zatrzymywały się w Poznaniu zwykle na dwa dni, jednego oglądali międzynarodowe Targi, następnego zwiedzali miasto. Bywało jednak, że odjeżdżali już po jednym dniu, rzadko pozostawali dłużej.

Studenci poznańskich uczelni stanowili większość przewodników, którzy zajmowali się przybyłymi. W czasie trwania Targów przewodnik zgłaszał się w dniu poprzedzającym przyjazd wycieczki w pomieszczeniu w budynku Dworca Głównego,

gdzie otrzymywał zlecenie zawierające również informacje, gdzie uczestnicy wycieczki mają zarezerwowane wyżywienie i miejsca noclegowe.

Tak więc wieczorem w środę, 27 czerwca 1956 r., pożegnałem na Dworcu Autobusowym grupę sympatycznych nauczycieli z Gniezna i stanąłem w kolejce, by odebrać zlecenie na wycieczkę na następny dzień. Przede mną stała starsza pani, przewodniczka „z powołania”, z góry patrząca na czeredę studentów, którzy zdaniem tych doświadczonych pracowali wyłącznie dla pieniędzy.

Kiedy pan Łacki, działacz PTTK-owski dawał jej zlecenie, ona powiedziała: wiesz, ja tej wycieczki nie chcę, to jakiś komitet partyjny, w zeszłym roku też taką grupę miałam, zaprowadziłam ich do Katedry, weszli w kapeluszach, ludzie się burzyli, po co mi to. Zareagowałem natychmiast. Powiedziałem Łackiemu, żeby mi dał tę wycieczkę, ja sobie poradzę. Nie muszę ich przecież prowadzić do Katedry, jest jeszcze zoo, palmiarnia, muzea, Stary Rynek. Pomyślałem, że jeżeli to komitet partyjny, to na pewno wyżywienie mają w dobrej restauracji, może jakiś program kulturalny, teatr czy inną imprezę. Takie rzeczy były w planach „lepszyc” wycieczek, przewodnik zawsze też w tym brał udział.

Pani przewodniczka dostała inne zlecenie, ja – wycieczkę organizowaną przez Komitet Wojewódzki PZPR w Białymstoku. Zdziwiłem się tylko, że na zleceniu puste były rubryki mówiące, gdzie uczestnicy mają zarezerwowane wyżywienie. Pociąg przyjeżdżał około 9, miałem czekać na placu przed Dworcem Głównym. Tramwaj, którym jechałem w kierunku dworca, zatrzymał się na wysokości parku Kasprzaka (teraz, jak przed wojną, park Wilsona). Konduktor powiedział: dalej nie jedziemy. Nie mówił jednak, jaka jest przyczyna. Kiedy dotarłem do pomieszczenia przewodników, koledzy wyjaśnili, że jest strajk u Cegielskiego i robotnicy gromadzą się przed Komitetem Wojewódzkim.

Na placu przed Dworcem Głównym oczekiwał tłum przybyłych na Targi. Ktoś przez megafon wymieniał nazwy wycieczek i informował, że ich przewodnik numer taki a taki czeka na nich na przykład przed wejściem na peron 5. Po pewnym czasie: wycieczka z Białegostoku, przewodnik numer 48, czyli ja. Podchodzę więc, przedstawiam się, witam i od razu mówię, że jest problem, ponie-

waż nie widzę rezerwacji miejsca wyżywienia, teraz w Poznaniu będzie trudno...

– Nie martwcie się, towarzyszu przewodniku, mamy wyżywienie zamówione w stołówce Komitetu Wojewódzkiego i wy nas tam teraz od razu zaprowadźcie.

Powiedziałem tylko grzecznie, że nie jestem członkiem partii, co znaczyło, że nie zasługiwałem na „towarzyszu”.

– No, tak, jesteście przecież jeszcze za młodzi.

Zupełnie nie wiedziałem, co robić i co mówić. W ówczesnym języku słowo „strajk” odnosić się mogło wyłącznie do wydarzeń w Polsce sanacyjnej, a obecnie do krajów kapitalistycznych, gdzie robotnicy w ten sposób walczą z kapitalistami. U nas demonstracje i pochody to wyłącznie wydarzenia, w których robotnicy wyrażają swój entuzjazm dla osiągnięć socjalistycznej gospodarki ze Związkiem Radzieckim na czele.

Postanowiłem, licząc, że coś mi przyjdzie do głowy, wyprowadzić grupę po schodach na most Dworcowy i iść okrężną drogą zamiast bliżej, ulicą Dworcową w górę. Już na moście spotkaliśmy kilkudziesięciosobową grupę ludzi w roboczych kombinezonach idących środkiem ulicy.

Któraś z uczestniczek zapytała mnie: czemu ci ludzie idą tacy brudni, myśmy słyszeli, że Poznań to takie czyste miasto? A czemu nie jeżdżą tramwaje, przecież są tu szyny?

Nie było innej rady, powiedziałem, że rano się dowiedziałem, że w jednym z zakładów pracy, Zakładach im. Stalina robotnicy zastrajkowali i widocznie zbierają się teraz na placu Stalina. Główne wejście na Targi, o ile dobrze sobie przypominam, było zamknięte. Idąc w kierunku Kaponiery, poruszaliśmy się w towarzystwie niedużych grup ludzi dążących w tym samym kierunku – do Zarządu Miasta, który mieścił się wtedy w Zamku, i Komitetu Wojewódzkiego w budynku obecnego Collegium Historicum.

Pamiętam, że zwrócił moją uwagę fakt, że ludzie szli w milczeniu, na ogół nie rozmawiając ze sobą, byli chyba źli, nikt się nie śmiał. Doszliśmy do miejsca naprzeciw budynku obecnego Collegium Iuridicum. Wówczas mieściła się tam Komenda Wojewódzka Milicji Obywatelskiej. Dalej nie można już było się poruszać w zwartej grupie, trzeba by się było przepychać wśród sto-

jących ludzi. Tłum zajmował przestrzeń aż do widocznego stąd gmachu komitetu. Moi „wycieczkowicze” bacznie obserwowali otoczenie, niektórzy cicho się ze sobą porozumiewali. Byli absolutnie zaskoczeni tym, co zobaczyli.

Kiedy tam staliśmy, z wejścia komendy milicji wybiegło kilku umundurowanych oficerów, trzymając czapki pod pachami, pewnie ze strachu, by im ich ktoś z demonstrantów nie strącił. Niedaleko nas stał tramwaj, z którego dachu konduktorka w mundurze głośno mówiła coś do otaczających wagon ludzi. Widziałem gdzieś tablicę z napisem „chcemy chleba”. Z daleka widzieliśmy, że coś jest wyrzucane z górnych okien komitetu. Teraz już ludzie rozmawiali ze sobą, stojący blisko tramwaju oklaskiwali konduktorkę.

Pomyślałem, że gdyby moi „towarzysze” się zdemaskowali i ujawnili swą przynależność, mogłoby się to dla nich źle skończyć. Kiedy stało się już jasne, że nie ma widoków na śniadanie w Komitecie Wojewódzkim, podszedł do mnie jeden z uczestników, być może wyższy rangą, i powiedział, że idąc w kierunku komitetu, w pewnym sensie zwiększamy pochód – gdyby ktoś nas rozpoznał, mógłby stwierdzić, że bierzemy w nim udział. – Chcielibyśmy więc iść do miejsca, gdzie mamy zarezerwowany nocleg.

Udaliśmy się najbliższą drogą do ulicy Szamarzewskiego, gdzie na rogu Szamotulskiej, w budynku, w którym mieści się obecnie internat dla młodzieży niepełnosprawnej, znajdowało się wyznaczone przez organizatorów miejsce noclegu.

Zauważyłem, że idąc w kierunku Jeżyc, moi podopieczni rozmawiali już coraz swobodniej. Pytali mnie, czy wiedziałem wcześniej, że coś się w mieście przygotowuje. Zgodnie z prawdą mówiłem, że nie wiedziałem nic. Moje wycieczki przyjeżdżały rano, odjeżdżały wieczorem, nie miałem żadnych kontaktów, nawet w domu z rodzicami praktycznie nie rozmawiałem. Byli zupełnie pewni, że za demonstrację odpowiadają jacyś przybysze z Zachodu, którzy pod pozorem chęci wzięcia udziału w Targach przedostali się do Poznania.

– To niemożliwe, żeby nasza klasa robotnicza wystąpiła przeciw swojej władzy. – Byli absolutnie zaszokowani tym, co zobaczyli, czegoś podobnego nie mogli sobie nawet wyobrazić. Byli źli, w głębi ducha pewnie też przestraszeni. Mieli jednak pretensje:

gdzie jest ta wasza milicja, gdzie wojsko, jak można było do tego dopuścić, tu trzeba przecież zdecydowanie działać.

Po drodze do internatu spotykaliśmy jedynie pojedynczych przechodniów. Kiedy wreszcie znaleźliśmy się wewnątrz budynku, zwróciłem uwagę, że wejście do niego bardzo starannie zamknięto. Sprawdzono również, czy zostały zamknięte boczne wejścia. Wtedy moi uczestnicy wycieczki wyraźnie się uspokoili. Nie udało im się telefonicznie skontaktować z poznańskim ani ich białostockim Komitetem Wojewódzkim. Z grupy wyłonił się zespół najaktywniejszych mężczyzn, zapamiętałem nazwisko jednego z nich, do którego inni zwracali się w różnych praktycznych sprawach. Towarzysz Dederko był chyba odpowiedzialny za techniczną organizację wycieczki. Kiedy usłyszałem, że udało się nawiązać łączność z Warszawą przez We-Cze, zapytałem go, co to jest. Zdziwił się, że tego nie wiem, i wytłumaczył, że to taka sieć telefoniczna podobna do kolejowej czy wojskowej, ale dostępna tylko dla „czynników” partyjnych i rządowych.

Z „Warszawą” rozmawiał towarzysz najwyższy rangą. Powiedział, że „tam” już wiedzą i że na razie mamy nie opuszczać budynku, pozostawać z nimi w kontakcie.

Zdziwiło mnie, że właściwie traktowali mnie jak swego. Stanowili zwartą i chyba wsobną grupę, większość była ze sobą na „ty”, do kilku zwracano się „towarzyszu” i do jednej pani „towarzyszko”. Wydawało mi się, że było dla nich rzeczą oczywistą, że mający ich oprowadzać przewodnik jest człowiekiem zaufanym, podobnie jak ekspedientka w zakładowym sklepiu czy komitetowy portier. Stąd zdziwienie, że nie jestem towarzyszem i że nie wiem, co to jest We-Cze.

Nie pamiętam, kiedy usłyszałem pierwsze strzały. Najpierw pojedyncze, czasem krótkie serie z broni ręcznej. Po pewnym czasie usłyszałem odgłos czołgowych gąsienic i wybuchy z ciężkiej broni. Byłem przerażony. Wyobrażałem sobie, że interweniuje wojsko i czołgi wjechały w tłum na placu przed uniwersytetem i komitetem. Teraz moi podopieczni odzyskali równowagę ducha.

– Nareszcie, tylko czemu tak późno. Trzeba było zaraz działać. Na Śląsku, jak ci rozrabiacie czegoś tam żądali, to nasi chłopcy od razu pojechali i szybko był porządek. Najbardziej rozdrażniło ich

słowo „żądamy” w hasło wymalowanym czarną farbą na odwrotnej stronie gazetki ściennej: „Żądamy chleba”. Władza wszystko im daje, a oni jeszcze żądają, jakby byli głodni.

Zupełnie inaczej sobie wtedy wyobrażałem ludzi z Komitetu Wojewódzkiego. Myślałem, że na tym szczeblu towarzysze reprezentują jednak wyższy poziom. Widzieli przecież najautentyczniejszą klasę robotniczą. O demonstrantach mówili, oczywiście już po zamknięciu wszystkich wejść, rozrabiacy, wichrzyciele, banda, szczeniaki (większość napotkanych w drodze i na placu to ludzie młodzi). Zrozumiałem, co znaczyło, kiedy po drodze mówili, że trzeba energicznie działać, a uspokoili się, kiedy uszeli strzały.

Moje przerażenie było już chyba widoczne, kiedy dodatkowo jeszcze nad miastem zaczęły krążyć samoloty. Podszedł do mnie wtedy towarzysz Dederko i powiedział: widzę, że się, przewodniku, wystraszyliście, ale tak trzeba, tak trzeba.

Do domu wróciłem wieczorem i od ojca dowiedziałem się nieco więcej.

Wycieczka miała trwać trzy dni i na ten czas miałem podpisaną umowę. Ktoś ze starszeństwa powiedział, żebym przyszedł do nich następnego dnia o dziewiątej. Kiedy przyszedłem, zauważyłem, że atmosfera się zmieniała. Było już urzędowo. Starszy towarzysz poinformował mnie, że ze zwiedzania Targów zrezygnowali, życzą sobie tylko, bym ich zaprowadził do Wojewódzkiego Ośrodka Szkolenia Partyjnego przy ulicy Rokossowskiego 92. Kiedy się znaleźliśmy przed budynkiem przedwojennego Liceum im. Mickiewicza, inny towarzysz urzędowo poprosił mnie o formularz zlecenia i podpisał wykonanie zadania.

Po kilku latach, już po studiach, jako asystent w Akademii Medycznej brałem udział w Zjeździe Polskiego Towarzystwa Anatomicznego w Szczecinie. Jedyna wówczas w tym mieście sala z odpowiednim wyposażeniem mogąca pomieścić uczestników zjazdu znajdowała się w gmachu Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Było to już po pamiętnym polskim Październiku '56, pierwszym sekretarzem partii był Władysław Gomułka.

W czasie przerwy w obradach, idąc długim korytarzem, zauważyłem zbliżającego się z przeciwka człowieka, który wydał

mi się skądś znajomy. On pewnie pomyślał to samo. Zatrzymał się przede mną, wyciągnął rękę i z jakimś smutkiem powiedział: Dederko jestem, z Białegostoku, teraz tutaj pracuję – i, nie czekając na odpowiedź, poszedł dalej korytarzem.

Roman Trojanowicz

Comrades at the fairs

A remembrance of the Black Thursday events, observed by the author (a student of medicine back then) witnessed as a tourist guide for a group organized by Province Committee of the Polish United Workers' Party from Białystok, sightseeing at the Poznań International Fairs.

Keywords: Black Thursday; Poznań International Fairs; tourist trip.

Roman Trojanowicz – lekarz kardiolog, humanista, były radny Poznania i miłośnik miasta.